Zeszyt 9. Rok I.



Lwów 28. Marca 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

XII.

(C. d.) Świt się już robił, szary świt zimowego poranku, kiedy z balu od Millera wyjechała rodzina Zarembów. W głębi dużej karety, otulona w szale i koronki, w których wyglądała jak w obłokach, siedziała pani Łucja Zarembina milcząca i ukryta w cieniu. Obok niej drzemał mąż, a może tylko marzył, a naprzeciw nich Julek, zapatrzony na ulice smutne i puste. Panna Karolina już przed paru godzinami pojechała do domu.

W karecie było ciemno. Wnętrza jej nie mogły rozjaśnić słabe blaski szarzejącego ledwie świtu. Na ulicach pogaszono już latarnie i po dachach i kominach ślizgały się zimne, mętne, blade blaski poczynającego się dnia. Senna, melancholijna cisza drzemała w drzemiącem jeszcze mieście. Turkot karety powtarzały echa rozgłośnie. Stróże leniwie wychodzili z bram domów i wsparci na miotłach, nad rynsztokami pełnemi brudnej wody, gwarzyli między sobą. Czasem tylko energiczny szelest miotły, wypychającej wodę z rynsztoków, rozlegał się dokoła. W oknach domów, na piętrach, pozapuszczane były rolety, a sklepy były pozamykane.

Pustka wiała z tych domów na pół martwych jeszcze. Z kościoła pobernardyńskiego, z przysadzistej ciężkiej jego wieży, zlatywały gromadą gołębie na ulicę, szukając na niej żywności. Od zjazdu ciągnęły fury z drzewem, nabiałem, ogrodowiznami. Policjanci na rogach ulic, otuleni w płaszcze gumowe z kapturami na głowach, stali nieruchomi, na pół senni. Tu i ówdzie biegł chodnikiem robotnik, drżąc od zimna i niosąc blaszankę, w której miał żywność na cały dzień. Od czasu do czasu pojawiał się jaki zapóźniony przechodzień, w kapeluszu naciśniętym na oczy, a kroki jego rozlegały się donośnie między murami miasta. Wiatr skrzypiał przeraźliwie znakami wiszącemi w kształcie chorągiewek. Zimno przenikliwe, wilgotne, przedostawało się aż do wnętrza powozu.

Dzień rozpoczynał się smutno, ponuro i wietrzno. Julek patrzał na to wszystko i przejmował się do głębi pesymistycznemi myślami. Ta szara, mętna, bezbarwna i ponura natura oddziaływała na niego jak trucizna. Ołowiane niebo, nie posiadające ani jednego blasku, nie mogło rzucać jasnych promieni we wnętrze czarnych myśli chłopca. Na co to wszystko? — pytał samego siebie. Czyż konieczny był ten świat, ze swym głównym, dominującym rysem, cierpieniem i bolem? Jeżeli już trzeba było temu komuś, co tam w nieskończonościach przestrzeni patrzy i duma, jeżeli temu komuś trzeba już było koniecznie świata i życia, to czemuż nie zrobił go wesołym, szczęśliwym, swobodnym? Czyż to nie byłoby lepiej, rozumniej, uczciwiej? O! tak, uczciwość jest głupstwem, wspaniałomyślność jest marzeniem, szlachetność wytworem uszlachetnionej ludzkiej natury. Przyroda nie ma uczciwości, wspaniałomyślności, szlachetności. Ona się gniewa i karze tych, którzy mają te przymioty. Ona jest podobna do wozu parowego, który biegnie ślepo naprzód

sapiąc potężnie i druzgocząc wszystko słabe przed sobą, dopóki nie spotka czegoś silniejszego, o co sam się zgruchocze. Siła, oto prawo natury!

Głupstwo! wszystko na świecie jest jednem wielkiem głupstwem. Dobrze zrobiła Mina, że mu odmówiła swej ręki. Miała zupełną słuszność, czyniąc tak, ale i on miał słuszność, chcąc się z nią ożenić. Widział w tem swoje szczęście i powinien był do tego dążyć. Ale teraz na nic już nie będzie zważał. Zbałamuci tę dziewczynę, jeżeli tylko będzie mógł. Niech się Miller gniewa o to jak chce, niech świat krzyknie nań, na Julka, że jest podły i nikczemny, cóż jego to może obchodzić? On zadość uczyni jedynemu rozumnemu prawu wszechświata, rozkoszy i zadowoleniu własnemu. Zresztą, czyż jest co złego w naturze, która sama jest czemś do szpiku kości, czemś do dna złem? Że tam ktoś opłaci jego zadowolenie cierpieniem, to cóż to znaczy? Cierpienie jest tak dobre prawo natury, jak każde inne...

Zagłębiał się coraz bardziej w te ponure, posępne, czarne myśli. Na wschodzie niebo oblewało się już białemi blaskami, jak gdyby gdzieś, z głębi wszechświata podnosiły się góry olbrzymie, pokryte śniegiem. W powozie robiło się trochę widniej i Julek mógł tam dojrzeć otulonego w futro i na pół leżącego na ścianie karety swego brata, śpiącego w najlepsze.

Spał, a przy nim siedziała jedna z najpowabniejszych i najpiękniejszych kobiet. Jej suknia roztoczona szeroko dotykała się męża i Julka. On widział panią Łucję otuloną w śliczne futerko, w mnóstwo obłoczystych wstążek, tiulików i koronek. Biała spodniczka olśniewała mu oczy. Dotykał się kolanami jej kolan w ciasnej karecie. Widział jej oczy, wpatrzone w niego z ironicznym uśmiechem. Jej śliczna główka, jej złote włosy, z pod czarnej chusteczki wyglądały jak nimbus na bizantyńskich obrazkach. Posunął nogę i dotknął się jej nóżki maleńkiej.

— Depczesz mię kuzynku — rzekła na pół głośno — jesteś niezgrabny. Siedź spokojnie.

Cofnął nogę z niechęcią. Gniewało go jej spojrzenie pełne śmiechu i szyderstwa. Pochylił się ku niej, poszukał jej ręki ukrytej gdzieś głęboko w futrze. Nie broniła mu tego, tylko rzekła:

— Dajże pokój, zimno i spać mi się chce.

Potem podnosząc się, rzuciła przelotne, szybkie spojrzenie na męża i nachylając się do ucha Julka szepnęła:

— Dostałeś dopiero co odkosza od jednej i już umizgasz się do drugiej. Fe, brzydal jesteś...

— Wiesz kuzynko — odrzekł na to — że ciebie zawsze kochałem i kocham namiętnie...

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się — jak on mię bawi ten młokos...

Na śmiech ten obudził się Zaremba.

— Bo cię bawi, Luciu?

— Twój braciszek.

— No, cóż on tam zrobił?

— Wyobraź sobie, oświadczył się dziś tej Niemce o płaskich nogach, tej Minie... czy jak tam...

— Oświadczył się! cóż znowu? — zmarszczył brwi Zaremba.

„ — Och! nie bierzże znów, mój Zyziu, tych rzeczy tak bardzo na serjo. Czyż można Julka brać na serjo?

— Kuzynko! — zaczerwienił się młodzieniec — to obraza!

Uderzyła go wachlarzem po rękach, rzuciła mu w oczy zalotne, pełne obietnic spojrzenie i rzekła:

— Cicho bądź! nie odzywaj się...

— No, ale cóż te oświadczyny? — pytał Zaremba.

— A cóż mogło być, mój Zyziu? Dostał odkosza i koniec.

— Tak! ano to co innego! — zaśmiał się Zaremba i otulając w futro zabierał się do spania.

— I wyobraź sobie — mówiła dalej pani Łucja — teraz choruje na Manfreda... nie jestże on zabawny?

— Zapewne — mruknął na pół już drzemiąc Zaremba.

Julek siedział nieruchomy, milczący podczas całej tej rozmowy, wpatrzony w śliczne oczy bratowej. Po chwili rzekł:

— Kuzynka za bardzo sobie żartuje ze mnie!

— A cóż mam robić kuzynku? Czyż chcesz bym płakała nad tobą jak niewiasty Jerozolimskie?

— Nie... ale ostatecznie... są rzeczy na świecie, które nie zasługują na śmiech...

— Są takie rzeczy jednak? No, mój kuzynku, widzę, zaczynasz rzucać drogę tego czarnego pesymizmu, na którą, niedawno zresztą, wszedłeś. I proszę ja pana dobrodzieja, jakież to są rzeczy, z których śmiać się nie wypada? Jestem tego bardzo, ogromnie ciekawa...

— Do rzędu takich rzeczy należy uczucie...

— Głupstwo mój kuzynku, wszystko jest marnością na tym świecie, nic nie jest wiecznem... „ciało Cezara zmieniło się w glinę, a tą gliną chłop zalepił szczelinę“ powiada Hamlet i ja uważam, że miał wielką rację. Jeżeli więc z Cezara nic nie zostało, z jego sławy, ambicji i wielkości, to nie widzę żadnego powodu dla czegoby miało coś zostać z uczucia pana Julka Zaremby...

Śmiała się głośno, aż znów mąż jej na pół zbudzony, coś mruczeć począł niechętnie.

— Mówmy otwarcie kuzynko — rzekł Julek — więc kuzynka mnie nie kochasz?

— Owszem, bardzo.

— No i cóż?

— Ano nic... cóż ma być?...

Zakręcił się niecierpliwie i z patosem zawołał:

— O kobieto, kobieto!...

— Twoje imię: zmienność...

— Kuzynka zachorowała dziś na Szekspira...

— Jak kuzynek na Albina ze „Ślubów panieńskich". Jesteś rozmazgajony i ckliwy jak lukrecja.

Znów począł szukać jej ręki ukrytej gdzieś głęboko w fałdach sukni. Szukając, czuł jej nogę pełną i twardą, kolanami ciągle dotykał się jej kolan. Nie broniła mu się wcale, ale śmiejąc się patrzała na niego. Znalazł nakoniec tę rękę i począł całować ją aż do łokcia. Śmiała się ciągle, potem spoważniała i wyrywając rękę, rzekła:

— Dość tego, zimno mi jest... siedź kuzynek spokojnie i cicho... proszę nogi wziąć do siebie, bo zbudzę Zygmunta i wyrzucimy cię z karetki na ulicę, na mróz.

— Niema mrozu...—odrzekł, spojrzawszy na ulicę.

Wjeżdżali właśnie w aleje, przedstawiające jeszcze smutniejszy od innych ulic widok w tym melancholijnym poranku zimowym. Czarne, bezlistne, mokre szkielety drzew rysowały się na bladem tle nieba, niby kościotrupy. Nagie ich gałęzie nosiły wyraz ponurego smutku...

— Och! jakże brzydko na dworze! — zawołała pani Łucja i otulając w futro rzuciła się w głąb karety.

Przez chwilę panowało głuche milczenie. Nareszcie Julek poprawił się na siedzeniu, znów pochylił do Zarembiny i spytał:

— Czy kuzynka bardzo kochasz Zygmunta?

— A to zabawne pytanie! a tobie co do tego młokosie? —odrzekła nie zmieniając pozycji.

— Jakto co mi do tego? chcę wiedzieć...

— A ja nie chcę... Czy prędko przyjedziemy do domu? Spać mi się chce, znużona jestem...

— Niech kuzynka nie skręca rozmowy na inne przedmioty, ale niech odpowiada na moje pytanie.

— Dajże mi pokój, mój kuzynku.

— No, przyznam się kuzynce, cóż to za mąż? — i wzkazał na śpiącego Zarembę. — Jakto? siedzi przy jednej z najpiękniejszych kobiet w Warszawie i chrapie, aż się szyby w powozie trzęsą!

Spojrzała na swego męża i w oczach jej mignął lekki, przelotny, na jedną chwilę tylko zjawiający się wyraz gniewu, oburzenia i pogardy...

— Gdybym ja był na jego miejscu...

— To cóżbyś zrobił?

— Całowałbym, całowałbym!...

— Dajże pokój, kuzynku... nudny jesteś!

— Bądź co bądź, należy to raz powiedzieć, że Zygmunt nie kocha kuzynki.

— Dlaczego?

— Bo kocha się w innej.

Porwała się z błyskawicami w swych ślicznych oczach i już pytanie zawisło na jej ustach, gdy nagle powóz stanął i Zygmunt się obudził. Przeciągnął się, ziewnął i rzekł:

— Chwała Bogu, żeśmy już przyjechali. Umieram ze znużenia.

XIII.

Mina po balu owym, czuła się jedną z najszczęśliwszych i najnieszczęśliwszych istot. To, co sobie założyła, co stanowiło jej cel i jedyną dążność, to jest wyjście za mąż bogato, spełniło się. Mniejsza o to, mówiła sobie z początku, że ten mąż jest stary, brzydki, zasuszony jak rodzynki, na sprzedaży których zrobił fortunę, i że nakoniec jest jej krewny, ona koniecznie chce być bogatą.

Nędzy ma już dosyć, tego nieustannego użerania się z biedą, z ludźmi, z troską o jutro. Nie chce już więcej biegać po lekcjach, uczyć tępe dzieci, mordować się z niemi, znosić ich kaprysy i uwagi głupich rodziców. Nie chce biegać po całych dniach, od świtu do nocy po ulicach pełnych błota i brudu, w bucikach dziurawych, przez które przeciekała woda i które wydawały na wywoskowanych posadzkach charakterystyczne potem skrzypienie, które ją rumieniło, przerażało i gniewało. O! dość ma tego wszystkiego. Nie chce już więcej chodzić po ulicach, na których mężczyźni impertynencko zaglądali w jej śliczne oczy, nie chce drżeć od zimna w swym paletociku leciutkim, siadać do fortepianu z rękami czerwonemi od wiatru i skostniałemi, grać na nim nie mogąc rozprostować, ożywić biednych, zmarzniętych palców. I za to wszystko, za te cierpienia, pracę, nie znać co to jest piękny strój, co to jest zabawa, co pysznie oświetlone salony i ugrzecznieni mężczyźni — nie mieć nawet na tyle, by starczyło zawsze na życie, by nie być zmuszoną częstokroć cały dzień biegać z piętra na piętro o szklance herbaty i jednej bułce...

O! nędza, to straszna rzecz! Ona już jej nie chce, wszystkiemi siłami unikać jej będzie. Teraz przed nią roztwiera się życie pełne spokoju, uciech, dobrobytu i blasku. Cóż, że ten mąż jest stary! Prawda, jest brzydki i niekiedy ma postać kościannego dziadka: że jego maleńkie, siwe oczka są wysoce śmieszne, jego brudne, zawsze na klapach zaplamione bernardyńskiego koloru surduty, przypominają modnisiów z czasów Restauracji. Wszystko to nic nie znaczy. Ona go ożywi, ubierze lepiej, opanuje i będzie używała bogactwa.

Jeżeli już nie ma mieć prawa do miłości, do cichej, romantycznej, pełnej poezji sielanki dwóch serc w jeden takt bijących, to niechże przynajmniej użyje tego wszystkiego, co może dać bogactwo, pieniądz duży. A przecież i ona śniła nieraz, tam w Gdańsku, w swej zimnej, biednej i nagiej izdebce, o miłości gorącej, namiętnej, czystej i pełnej uniesień. Przypomniała sobie Julka Zarembę, jego egzaltację, jego ogień w oczach, jego słowa miłości —

i wzdychała. Czemuż ten Julek nie jest bogaty! czemu ten świat tak głupio urządzony, że daje bogactwo tym, którzy go użyć nie umieją? Ale stało się, ona przynajmniej użyje tych pleśniejących milionów starego Millera, który nawet do czasu jej przybycia nie umiał się rozerwać i zabawić.

— Na wszystko się zgadzam wuju — mówiła do Millera — na wszystko co chcesz, ale przedstawię pewne warunki. Chcę by ciocia Joasia koniecznie przy nas mieszkała. Byłoby mi przykro bardzo, gdyby małżeństwo moje miało pokłócić brata i siostrę. Ja chcę być szczęśliwą i nie mogłabym znieść tego, by ktoś z powodu mego szczęścia cierpiał.

Miller przyrzekał, że będzie o to prosił Joanny, że on jej jeszcze nic nie powiedział o swych zamiarach, że w końcu to uczyni i sądzi, że Joanna, która go zawsze kochała, wprawdzie po swojemu, zgodzi się na wszystko.

— Trzeba wuju, żebyś jej to dziś jeszcze powiedział. Mam iść za ciebie, to niech się to prędko skończy. Potem muszę ci powiedzieć wuju, że wypadałoby, żebyśmy się gdzieś wynieśli, choć na pół roku. Najlepiej by było, gdybyś wuju kupił jakąś wieś, w której moglibyśmy lato przepędzić. Za parę dni jest post i ślub nasz nie może się już odbyć prędzej jak po Wielkiej Nocy. Kup więc wieś przez ten czas i po ślubie zaraz tam pojedziemy. Chcę trochę uciec od świata, chcę świeżości, powietrza, zieleni, ciszy. Nudzą mię już i męczą te ponure pokoje, to mieszkanie bez kwiatów i słońca. Niechże przynajmniej miodowe moje miesiące ozłocone będą tem słońcem, utulone śpiewem słowika.

Miller zachwycał się tą myślą. Uderzała go jej poetyczność i sam w głębi duszy poeta, zawsze wzdychał do wsi, do wielkiego ogrodu ocienionego stuletniemi lipami, do sielankowego śpiewu skowronka i słowika. Od razu postanowił kupić wieś, wieś jakąś nie wielką, w pięknem położeniu, oddaloną od kolei i dużych gościńców, zabitą deskami od świata, gdzieby mu nikt nie przeszkadzał i gdzieby mógł sądzić, że jest naprawdę samotny. Uśmiechała mu się ta myśl, którą dotąd uważał za coś zuchwałego, za nie mogące się ziścić nigdy marzenie. Ale teraz to zrobi. Jest tak bogaty, że kupienie wsi, nic dla niego nie będzie znaczyło. Majątki są teraz tak tanie, mówił sobie, cena ziemi w skutek ostatnich reform agrarnych ogromnie spadła, będzie można kupić ładny kawał ziemi za psie pieniądze. To nawet będzie interes.

— Kupię wieś — myślał sobie — z pałacykiem, z ogrodem starym, ze stawem i lasem. To mię rozweseli, ożywi, doda sił na drugie pięćdziesiąt lat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czem jest życie?

Czem więc jest życie? — Szczęścia zenitem,
Rozkoszy chwilą — boleści szczytem,
Krótką komedją — chwilką marzenia
I po snach złotych echem wspomnienia!
Życie — to jasny sen na błękicie,
Cacko świecące co wabi dziécie,
Z oddali barwna bańka mydlana —
Dotknąć — rozpryśnie — fata morgana.

Życie — ironja — krzyż na Golgocie
Samotność więźnia — upadek w złocie,
Kara za grzechy pychy anioła
I ciężka praca wśród potu czoła!
Życie — to walka całego życia,
Jeden jęk bólu już od powicia,
To łza sieroty — to uścisk wroga,
To pogodzenie się z wolą Boga!

Życie — to bliźnim ulga niesiona,
To podział serca, szczęścia korona,
I łza otarta biednym w niedoli,
Balsam współczucia gdy serce boli.
Życie — to uscisk przyjaznej dłoni
Kiedy w zwątpieniu dusza się kłoni,
Ofiara z szczęścia swego czyniona
I wiara w prawdę — niezamącona!

Marja Grochowalska.

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Henryk mówił zbyt otwarcie i za spokojnie patrzał w oczy starego, żeby mu ten nie miał uwierzyć; — to też rozchmurzył czoło i odezwał się serdecznie:

— Kiedy pan w ten sposób mówi, to musi być prawdą. Należałoby przeto objaśnić Wicka, że jest w błędzie, inaczej mogłoby się stać nieszczęście.

— Mam może biedz za nim i usprawiedliwić się? Jeżeli jest tak zaślepiony i głupi, że się czepia pierwszego lepszego... niech sobie szuka winnego. Jeżeli go Kundzia nie oświeci, ja tego z pewnością nie uczynię.

— Powiadasz pan, że się Wicek odgrażał? to źle. Ten chłopiec nie zwykł grozić na próżno — zauważył stary po krótkiem milczeniu.

— W takim razie przekona się, że i ze mną nie ma żartów i że się nie boję jego strzelby — odparł spokojnie Henryk.

— Byle tylko nie zapóźno! — wymówił Ambroży krótko.

— Sądzicie, że byłby zdolny wypalić do mnie z zasadzki?

— Byłby w swojem prawie.

— Jakto? zabić kogo, to u was prawo? — zapytał Henryk zdziwiony.

— O panu tu nie ma mowy, a'e tego drugiego co mu bałamuci dziewczynę, gdyby zastrzelił...

— Popełniłby morderstwo, skrytobójstwo! — wyrzekł Henryk podniesionym głosem.

— Zemściłby się tylko! — odparł Ambroży połyskując złowrogo oczyma. — Jeżeli mi kto odbiera moją dziewczynę...

— W takim razie walczy się z nim otwarcie — pochwycił Henryk — a gdy dziewczyna pójdzie za tym kimś, to i miłość jej licha była warta i należy o niej zapomnieć.

— Należy zapomnieć? dobrze pan to powiada, ale jeżeli nie można zapomnieć, co wtenczas? Nic nie mówicie? więc ja dopowiem. Wtenczas sprząta się tego drugiego ze świata, a dziewczyna wkrótce się pocieszy po stracie i zwróci napowrót do pierwszego kochanka.

Henryk wypatrzył się na starego Ambrożego i na razie oniemiał ze zdziwienia, ujrzawszy straszny wyraz na ogorzałej twarzy i dziki blask rozwartych szeroko źrenic, nad które nasunęły się groźnie gęste brwi. Po chwili opanował złowrogie przeczucie i zapytał badawczo:

— Mówicie jak gdybyście sami zaznali kiedyś co to zazdrość. Czy kochaliście w młodości?

Ambroży zaśmiał się gorzko i odrzekł ściskając kurczowo obuch siekiery:

— Nie długo mnie ona dręczyła i sprawiłem się krótko. Był to także taki panicz z miasta.. jakiś obcy.

Henryk zerwał się z ławki i szybko zapytał:

— Obcy? zapewne turysta?

— Nie inaczej! posłałem go tam skąd się nie wraca.

Henryk cofnął się o krok wiedziony dziwnym instynktem. Nie był bojaźliwy, ale spokój z jakim Ambroży wymówił ostatnie słowa, przejął go dreszczem, a w oczach starca wyczytał całą dzikość i instynkta czysto zwierzęce, które zeszpeciły to surowe, a jednak nie wstrętne oblicze.

— I dokąd posłaliście tego obcego? — zapytał po krótkiej przerwie.

— Dokąd? no... do domu... dokądże miałem go posłać? — wyjąknął Ambroży ze spuszczonym wzrokiem.

Młody Kroneg milczał, ale mimowolnie powiódł okiem w stronę ław śnieżnych, które pod działaniem gasnących promieni zachodzącego słońca, zdawały się jak we krwi skąpane.

— Dziwne zjawisko! — wymówił półgłosem, a obróciwszy się do Ambrożego dodał: — Zdaje się jak gdyby krew spływała strumieniami po tych rozległych ławach śnieżnych. Spojrzyjcie Ambroży.

— To odblask i nic więcej... nie ma tam krwi tylko śniegi i lód — odparł zagadnięty nie odwracając się wcale.

— Wiem o tem, ale... zdaje mi się... nawet słyszałem coś o tem, że przed laty zginął tam jakiś człowiek?

— Może w innych stronach... tutaj nie było takiego od 30 lat wypadku — odparł Ambroży na pozór spokojnie, ale w głosie czuć było drżenie i niepewność.

— Mówię właśnie o dawnym, zapomnianym wypadku, który się zdarzył może przed 50 laty. Jakiś obcy, zwiedzający te góry, został w czasie zamieci opuszczony przez swego przewodnika i zabłąkał się na ławach śnieżnych, gdzie zginął straszną śmiercią.

Ambroży nic nie odpowiedział, lecz pochwycił oburącz siekierę i jak gdyby chciał wypróbować jej siły uderzył z całej mocy o skałę, że odłamy kamieni poleciały na kilkanaście kroków. Straszna siła tkwiła jeszcze w muszkułach starego.

— Okropny koniec! — ciągnął Henryk niezmięszany niezwykłem przerwaniem. — Jak ten nieszczęśliwy musiał wzywać pomocy! Kilkanaście godzin długich jak wieczność, błądził zapewne bez nadziei wyjścia i pogrążony w strasznej rozpaczy zakończył życie po wyczerpaniu się ostatka nadziei. Wobec tego śmierć od kuli byłaby prawdziwem dobrodziejstwem. Czy nie pamiętacie tego wypadku?

Ambroży drgnął na całem ciele, podniósł wzrok i utkwił błyszczące swe oczy w twarzy Henryka. W spojrzeniu tem migotały pioruny grożące zmiażdżeniem wszystkiego co spotkają na drodze, ale Kroneg z zupełnym spokojem spoglądał na walkę rozgrywającą się w obliczu starego i wytrzymał groźne spojrzenie.

Zwolna złagodniały rysy Ambrożego i dawny spokój zaległ na twarzy.

— Co mnie to obchodzi — odpowiedział obojętnie — ale pan nie masz się czego obawiać, nie dostaniemy się na ławy i wrócimy zdrowi i czerstwi.

— Dziękuję wam — odparł Henryk krótko i ująwszy długi kij góralski dodał: — rozmyśliłem się i nie pójdę na lodowce.

— Co? nie chcesz pan? — zapytał Ambroży.

— Nie! dobranoc!

— Zostań pan zatem do jutra, już ciemno i nie trudno o wypadek... a potem mógłbyś pan napotkać Wicka... zanocujesz pan u mnie, a rano...

— Nocować pod waszym dachem? Przenigdy! — wykrzyknął Henryk z odrazą i postąpił naprzód chcąc wejść na ścieżkę wiodącą do wsi.

Ale Ambroży zastąpił mu drogę i przedkładał, że niebezpiecznie puszczać się po nocy, bo pełno przepaści do około i powtórnie napomknął o Wicku.

— Nie troszczcie się o mnie! Jestem ostrzeżony... wreszcie nie idę z Wickiem na... ławy śnieżne — odparł Henryk z przyciskiem.

Nierozważne słowo zostało wymówione — z piersi starego wyrwał się krzyk podobny do ryku dra-

pieżnego zwierza, w ręku błysnęła siekiera i jak piorun spadła na Henryka, ale ten w tejże chwili odskoczył w bok i zasłonił się kijem, który pod strasznym ciosem rozprysł się na drzazgi.

Ambroży oprzytomniał w jednem okamgnieniu, lecz nie powtórzył zamachu, a spuszczając oczy w dół, zwiesił siwą głowę na falującą pierś.

Nastąpiła długa pauza. — Henryk przyszedł do siebie i prędko ochłonął z wrażenia.

— Teraz mnie puścicie Ambroży? — zapytał z sztucznie wymuszonym spokojem. — Co dziś zaszło pomiędzy nami utonie na zawsze w wiecznem zapomnieniu. Bądźcie zdrowi! wątpię czy się jeszcze kiedy zobaczymy.

Stary zapłakał jak dziecko, a łzy rzewne puściły się strugą po ogorzałej twarzy. O włos, że nie zabił młodego człowieka, do którego dziwny czuł pociąg — teraz nie mógł znieść jego wzgardy.

— Panie Henryku! — błagał rzewnie. — Tak mnie nie porzucisz?

Henryk spojrzał na tego przed chwilą groźnego olbrzyma, skruszonego i złamanego pod ciężarem zamierzonej zbrodni, która nie w sercu lub w głowie, lecz w krewkości temperamentu i nieczystem sumieniu wzięła swój początek — i żal mu się zrobiło.

— Bądźcie zdrowi Ambroży! — szepnął i nie dotknąwszy wyciągniętej ku sobie ręki, oddalił się spiesznie.

Ambroży stał jak wryty na miejscu czynu i tęsknem okiem ścigał oddalającą się i niknącą w szarej pomroce postać młodego Kronega, a z piersi dobywały się ciężkie westchnienia.

Zwolna noc osłoniła ciemnym całunem góry i skały — i cisza zapanowała do około.

* * *

Nadszedł dzień wyjazdu. Dziś odjeżdżali goście pani Rehfeld do pobliskiej stacji kolejowej, skąd o północy odchodził pociąg do stolicy. Papa Kroneg chodził niezadowolony z siebie, a więcej jeszcze z jedynaka i zastanawiał się czy odłożone na później zaręczyny młodej pary nie spełzną na niczem, ponieważ Ewelina oświadczyła stanowczo, że Andzia jest jeszcze zbyt młodą, żeby ją już teraz wiązać słowem i że jeden rok zwłoki obojgu młodym tylko na dobre wyjść może. Dziwiło tylko pana radcę, że właśnie pani Rehfeld, która z początku nagliła do pospiechu i coprędzej chciała widzieć zapewnioną przyszłość swej pasierbicy, nagle zmieniła zdanie i ociągała się z ostateczną decyzją.

Któż tu mógł zawinić? Nikt, tylko Henryk! ten lekkomyślnik, nicpoń, który wszelkie uwagi i napomnienia puszczał mimo uszu i broił po swojemu.— Ten chłopak wpędzi mnie do grobu! — powtarzał papa Kroneg trąc nielitościwie szpakowatą łysinę.

Wszyscy zebrali się po raz ostatni w salonie, by pożegnać uprzejmą gospodynię i poważny nastrój zapanował w nielicznem kółku, tylko Henryk po swojemu droczył się z Andzią i jakby na przekor w złotym był humorze. Prawda że i ona nie bardzo się smuciła rozstaniem i wiernie dotrzymywała pola swemu narzeczonemu.

Za to nad drugą grupą smętne zawisło milczenie. Radca spoglądał rzewnie na panią Rehfeld i w tej chwili ustąpiły w jego umyśle wszystkie osobiste widoki żalowi nad biedną kobietą, której niespodziewał się oglądać przy życiu z następną wiosną. Jeden rzut oka na jej bladą i schorowaną twarz wystarczał, żeby zadać kłam wszelkim iluzjom: usprawiedliwiała się wprawdzie, że kilka już nocy nie mogła zasnąć, ale w oczach widne były ślady łez, które co chwila cisnęły się z pod długich rzęs.

Hellmar z utajoną radością spoglądał na te łzy, biorąc je na własny rachunek: nie dał się bowiem obałamucić odmowną odpowiedzią i z głębokiem przeświadczeniem wierzył, że Ewelina go kocha.

Przerwał przygnębiające milczenie zapowiedzią rychłego swego powrotu w te czarowne strony, które go swym urokiem przykuły do siebie, ale nawet ta zapowiedź nie spędziła chmur z czoła pani Rehfeld, tylko lekki uśmiech przeleciał po jej twarzy, a oczy biegły w stronę balkonu, gdzie Henryk w najlepsze śmiał się z Andzią.

Poeta wylał swe żale i tęsknoty z okazji pożegnania w smętnym wierszu, który nieomieszkał odczytać z odpowiednim nastrojem, poczem wręczył go z obowiązującym uśmiechem Ewelinie.

Henryk jak zwykle w takich razach, gdy Gwido zabierał się do odczytywania swych nieśmiertelnych utworów, usprawiedliwił swoje wyjście i pod pozorem, że zapomniał jeszcze coś zpakować, opuścił salon, dodając na odchodnem, że zna już utwór przyjaciela, ponieważ go Gwido odczytał wczoraj wieczór.

— Jak gdyby takiej rzeczy nie można słuchać i dziesięć razy! — zauważył zirytowany papa Kroneg ale Gwido uspokoił wnet pana radcę uwagą, że Henryk nie znachodzi upodobania w poezji i w ogóle w rzeczach o poważniejszym zakroju.

Henryk nie słyszał już tych uwag, bo dawno był za drzwiami.

Gwido przystąpił więc do wygłoszenia swych rymów i wywołał łzy w oczach słuchaczy, nawet papa Kroneg ocierał od czasu do czasu zapłakane źrenice, w końcu wieszcz sam rozpłakał się jak dziecko i łkając dokończył czytania.

Henrykowi widocznie nie było pilno z pakowaniem, bo zamiast do siebie przeszedł korytarz i otworzył drzwi wiodące do małego pokoiku, który służył pani domu za buduar... Jedyne okno pokoju wychodziło na rozległe lasy i piętrzące się po nad nimi nagie skały.

Pomimo południowego skwaru miły chłód panował w buduarze. Umeblowanie było niewykwintne,

ale więcej zastosowane do wygody, nad otomanką wisiał obraz miluchnego dziewczęcia w białej sukience z krótko ostrzyżonemi włosami i ten sam djablik, który śmiał się z figlarnych ocząt panny Andzi, siedział w ślepkach dziewczęcia na obrazie. Henryk tylko przelotnie spojrzał na portret narzeczonej, dłużej natomiast zatrzymał wzrok na obok wiszącej akwarelli.

Był to portret Eweliny i pochodził z tego czasu, gdy oddała swą rękę panu Rehfeld, ale ośmnastoletnia wówczas panienka nie wyglądała nawet w przybliżeniu tak ponętnie jak dziś i chociaż ciemne jej oczy spoglądały wtenczas z nadzieją w daleką przyszłość a twarzy nie napiętnowało cierpienie — nie było w jej postaci tego poczucia własnej wyższości, smętnej a tak do duszy przemawiającej słodyczy, tych nieokreślonych pragnień, które napełniają serce i umysł a nieświadome celu błądzą w krainie rozkosznych marzeń.

Henryk stał długo zapatrzony w obraz i odbiegł myślą w wymarzoną przyszłość, strojąc ją kwiatami ułudy i fantazji. Opamiętał się niebawem i rzekł do siebie:

— Doprawdy, że zaczynam być marzycielem a tu nie mam wiele czasu do stracenia. Gwido niedługo zastanowi szluzę pożegnalno-łzawą, muszę się więc zwinąć, żeby mnie nie przychwycono na gorącym uczynku.

Z temi słowy przystąpił do biurka i odsunąwszy z złośliwym uśmiechem poskładane w porządku dedykacje Hellmara zaczął czegoś szukać.

— Widziałem dokładnie, że schowała go do starej jakiejś książki, ale gdzież ta się podziała? — rozmawiał z sobą, przerzucając na biurku książki i papiery. Znalazł wreszcie poszukiwany przedmiot. Był to tomik niewielki, czerwono oprawny, przyłożony marmurowym ciężarkiem.

Henryk przerzucił szybko kartki i znalazł „alpejski kwiatek“ ofiarowany Ewelinie przy spotkaniu się w parku. Pod zasuszonymi listkami leżały wiersze, które swojego czasu wręczył pani Rehfeld, zawierające legendę o „kwiatku szczęścia“.

— Jest to poniekąd kradzieżą — rozumował młodzieniec wahając się. — Właściwie nie! darowałem, mam zatem prawo odebrać, tem bardziej, że zakład ten potrzebniejszy mi teraz niż kiedykolwiek.

Ujął kwiat ostrożnie palcami i chciał go ukryć w bocznej kieszeni, gdy nagle usłyszał po za sobą swe imię wymówione przytłumionym głosem.

Henryk przeraził się jak gdyby rzeczywiście został przychwycony na kradzieży i krew uderzyła mu do głowy.

Ewelina zdziwiona niespodziewanem spotkaniem zmięszała się na razie, lecz wkrótce opamiętała się i zapytała:

— Pan tutaj?

— I zapytujesz pani po co tu przyszedłem i co robię przy jej biurku? — poderwał Henryk odzyskawszy zimną krew.

Pani Rehfeld milczała, ale zapytanie to widać było na zdziwionej jej twarzy.

— Chciałem się dopuścić kradzieży! — wyrzekł Henryk po krótkim namyśle.

— Kradzieży?

— Nie inaczej! Zaprzeczyć nie mogę, ponieważ przedmiot skradziony trzymam w ręku.

— A!... Więc szło panu o kwiatek? Było żądać otwarcie; jest on pańską własnością, zdobytą z narażeniem życia — odpowiedziała młoda kobieta nie bez pewnej goryczy.

— Niebezpieczeństwo z jakiem nabyłem ten kwiatek nie stanowi jego wartości, ale chciałem mieć pamiątkę tego wieczora... pragnę, żeby mi uprzytomniał te życzliwe rady i wskazówki, które mi wówczas udzielono, a wstydziłem się wyznać prawdziwy powód — odpowiedział Henryk z całą szczerością.

— A starałeś się pan wszelkimi możliwymi sposobami przekonać mnie, że pożegnanie willi Rehfeld przychodzi ci łatwo. Dotknęło mnie to nieprzyjemnie.

— Dziwię się, że zauważono moje zachowanie się. Sądziłem, że prócz Gwidona, rozanielonego we własnym utworze, nikt inny nie istniał dla pani.

Ewelina umilkła wobec niespodziewanego wyrzutu, ale z po za przelanych przed chwilą łez pożegnania, które wywołał czuły wiersz Hellmara, zamajaczył przelotny uśmiech szczęścia na jej bladej twarzy.

— Panie Henryku!

— Jedną mam jeszcze prośbę! Panem Henrykiem nazywa mnie ojciec w chwilach gniewu, gdy mi prawi sążniste kazania. Pana Henryka słyszałem zawsze z ust pani, która może nie bez powodu, mogłaś żywić do mnie żal i niechęć — otóż błagam o ułaskawienie w chwili pożegnania. Nazwij mnie pani tylko Henrykiem! — wypowiedział młody Kroneg z zapałem, nie spuszczając oka z Eweliny.

— Chwilami stajesz się pan zagadkowym! — odpowiedziała młoda kobieta spuszczając oczy pod działaniem wzroku Henryka. — Jeżeli mu jednak tak wiele na tem zależy... — Ewelina zawahała się, ale Henryk tak błagająco spoglądał z założonemi rękami, że nie mogła się oprzeć tak wymownej prośbie i wyrzekła: — Henryku! weź ten kwiat z sobą; — przyrzeczenie zatrzymuję.

— Dokąd go u pani nie wykupię! — dorzucił szybko młodzieniec.

— U mnie? — zapytała pani Rehfeld, a cień smutku przemknął po bladem licu. — U Andzi go wykup, mnie nie pozostaje tyle życia, żeby czekać na to.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Potęga prawdy.

(C. d). Zmarły wygodnie się urządził. Będzie tu sobie leżał tak cicho, tak spokojnie. A Maks tymczasem musi list pisać i pożegnać na zawsze Martę, jedyną istotę, która go wiernie i szczerze kochała, która wierzyła, iż jakkolwiek niedołężny, mógłby czemś być na świecie. Musi złamać słowo, zostać nieledwie krzywoprzysięzcą i wlec dalej żywot nieszczęsny, oparty na zdradzie, fałszu i kłamstwie!

Orszak pogrzebowy rozchodził się zwolna, niknąc w tej lub owej ulicy i bramie.

— Czy nam kogo narzucą nieproszonego, na miejsce nieboszczyka, czy też posuniemy się naprzód o jeden stopień? — słychać było ciche pytania, w grupie wyższych urzędników.

— Biedaczysko! — potrząsł głową miłosiernie jeden z młodych oficerków, Maksa kolega pułkowy, rzucając na klęczącego syna, nad ojca mogiłą, spojrzenie pełne współczucia. — Czy też nie znajdzie się jaka ciocia lub stryjaszek, którzyby za niego płacić chcieli? Inaczej musi wystąpić.

Susem godnym najzręczniejszego gimnastyka, przesadził płytę marmurową nagrobka poblizkiego, na którym świecił napis:

„Między nami a światem żyjących nic wspólnego... Nasze myśli nie są waszemi myślami!"

Detlew Löwenstern wyciągał się jak chart, aby krótkiemi nóżkami nastarczyć szerokim i szybkim krokom Romana. Oglądał się w koło, na pomniki, z których już nie jeden tkwił na zimę schowany w olbrzymiej pace drewnianej.

— Szkaradzieństwo! — wykrzyknął mały człeczyna z oburzeniem. — Nawet tu, w krainie umarłych, śmieszna i w oczy bijąca oszczędność! To tak całkiem, jak owe paradne salony, wiecznie okryte pokrowcami z płótna szarego. Albo te szyldy porcelanowe na nagrobkach, z imieniem i nazwiskiem nieboszczyka! Czy może być coś pospolitszego i więcej niesmacznego? Brakuje li dzwonka i napisu: „Zgłosić się do portjera"...

Gehren wzruszył ramionami.

— Cecha charakterystyczna naszej epoki i w ogóle naszego niemieckiego przemysłu — rzekł po chwili. — „Tanie a złe" — oto nasze hasło dzisiejsze. Sądząc z pozoru oszczędzamy się na każdym kroku a te oszczędności i taniości kosztują nas więcej w końcu, niż dawny przepych. W rzeczy samej, te wszystkie nagrobki tegoczesne, trącą dorobkiewiczostwem i cały inwentarz nędznie się przedstawia. Nasza zamkowa kaplica podziemna, to było coś wspaniałego! Pamiętam jeszcze wrażenie olbrzymie, jakie na nas czynił widok katakumb zamkowych, jeżeli nam kiedy wolno było w latach dziecięcych, modlić się razem z rodzicami przed głównym ołtarzem podczas mszy żałobnej. Rodzina moja była od wieków religji katolickiej. Wchód do kaplicy zamykała bogato wyzłacana krata żelazna, z napisem: „Szczęśliwi, którzy w Panu zasnęli". Po za głównym ołtarzem zwrócona twarzą ku nawie, lśniła blaskiem nadziemskim oświetlona z góry cudowna postać Chrystusa z prawicą ku niebu wyciągniętą: „Przezemnie do Ojca". Posąg z marmuru kararyjskiego, wyszedł z pod dłuta Canovy. W niszach sklepionych, stały trumny dwoma rzędami, a raczej pyszne marmurowe sarkofagi. Ojciec kazał wejście zamurować, zanim wyszedł z zamku praojców na zawsze.

Detlew spojrzał w górę nieśmiało. Z jakim spokojem niewzruszonym, opowiadał smętne dzieje ten człowiek wspaniały! A jednak serce musiało mu się ściskać boleśnie, na wspomnienie dawnej świetności. Nie byłby się przecież odważył wyrwać w obec takiego dumnego barona Gehrena, ze słówkiem współczucia litośnego. Dobrze by się z tem wybrał!

Gawędził dalej, idąc obok Romana, tonem prawie żartobliwym, aby pokryć żałość za serce ściskającą.

— Każę ciało moje spalić po śmierci, jeżeli do tego czasu ludzie jeszcze coś praktyczniejszego nie wymyślą i to w modę nie wejdzie. Najprzód, poco by miał wściubski osteolog, badać kiedyś ciekawie moje kości, mówiąc: „Oho! naprawdę, to z człowieka, a ja byłem pewny, że z jakiego wiernego pudla!". Powtóre, nie chcę, żeby jaki sławny frenolog oświadczył sentencjonalnie, czaszkę moją na wsze strony obmacawszy: „Było to poczciwe chłopczysko, ale... nic więcej!" Po trzecie: radbym pozbyć się raz na zawsze moich śmiesznych krótkich nóżek. Na co mam być jeszcze i na tamtym świecie pędrakiem, na którego reszta aniołów z góry by patrzyła? Eh! — machnął ręką — nie trzeba sobie tego zanadto brać do serca!

Roman uśmiechnął się z lekka.

— Czemuż nie mielibyście państwo zbudować za życia wspaniałej kaplicy dla siebie i potomków barona Löwensterna?

Doszli do bramy cmentarnej.

Zajechał pyszny ekwipaż Detlewa. Dzielne rumaki zaledwie można było powstrzymać. Skinął ręką i kazał jechać do domu.

— Pójdę z tobą baronie — zwrócił się do Romana.— Nóg nie czuję, tak mi skostniały. A może czekasz na Althausa? — spytał od niechcenia, kręcąc cygaretko i wpatrując się badawczo, z pod oka w twarz Romana.

— Co za przypuszczenie?! — Roman energicznie zaprotestował, zapaliwszy również papierosa. — Przynajmniej ty kochany baronie, nie prześladuj mnie czemś podobnem. Ze wszech stron obsypują mnie kondolencjami, jak gdybym już naprawdę był członkiem rodziny. Zadanie nader trudne, trzymać się

zupełnie na uboczu, nie grzesząc przeciw należnej damom grzeczności i delikatności. Cóż wreszcie tak zdrożnego popełniłem? Żem tu i owdzie, ładnej a zalotnej panience nadskakiwał, żem częściej tańczył z nią, niż z innemi? Trzebaż umieć rozróżniać oszołomienie chwilowe, wśród płomiennej, balowej atmosfery, od prawdziwego szczerego zajęcia się i starania o rękę panny.

— A jeżeli ta mała Althaus, wzięła na serjo pańskie nadskakiwanie i nabiła sobie główkę miłością nieszczęśliwą? — Detlew spytał zaniepokojony.

Gehren wydmuchiwał ustami i nozdrzami całe chmury dymu, niby wspaniały Wezuwiusz.

— Tegoczesna modna dama — strzepnął palcami najobojętniej — nie potrafi doprowadzić aż do nieszczęśliwej miłości!

Detlew lżej odetchnął, jakby mu nagle spadł kamień, pierś tłoczący.

— Nie czujesz zatem baronie, wyrzutów sumienia? — spytał żartobliwie.

— Ani troszkę! Nazwałbym raczej najwyższą niesumiennością budować rodzinę, bez podstawy realnej opartej na odpowiednich dochodach, wobec dzisiejszych wymogów w społeczeństwie. Kto potem pokutuje za takie małżeństwo, zawarte lekkomyślnie, bez należytej rozwagi i patrzenia w przyszłość? Dzieci, ma się rozumieć! — Spojrzał z góry na Detlewa, z uśmiechem ironicznym. Ten spuścił oczy, dziwnie pomięszany i zarumieniony. — Czy w twoich studjach historycznych, natrafiłeś może baronie na epokę średniowiecznego, bałamutnego i chorobliwego sentymentalizmu? Na rozkochanych w pasterkach królewiczów, na Minstrelów i Trubadurów? No! tobie wolno bawić się nawet w sentymentalność. Możesz tak samo pozwolić sobie żony bez grosza posagu, jak serwisów z *vieux saxe*, starożytnych gobelinów, bo...

— Byłem ostrożny w wyborze rodziców — wtrącił znowu tonem żartobliwym Detlew, dla pokrycia pewnego niesmaku i zakłopotania. — Ci o wszystkiem dla nas pomyśleli... o chrzcie, o ładnie brzmiących imionach.

— A głównie o tem, żebyście mogli mieszkać w przepysznym pałacu, gdzie jest dość miejsca nawet na kaprysy najkosztowniejsze i najbardziej pańskie zachcianki — przerwał mu Roman tonem szorstkim. — Gdy tu natomiast — ręką wskazał trzy okna w kamienicy, pod którą stanęli właśnie — znajdzie się zaledwie ciasny kącik, aby pomieścić jednego człowieka, z całą jego nędzą i troską ciężką o chleb powszedni. Żegnaj mi baronie.

Rozeszli się; Roman z głową jak zawsze dumnie podniesioną, Detlew niemal do ziemi przybity wyrzutami, które jego własne sumienie uczuwało w zastępstwie przyjaciela, jak skała obojętnego i niewzruszonego.

Ach! i on tu nie lada zawinił. Czemże nazwie radość mimowolną, budzącą się w jego duszy, gdy Roman z takiem okrucieństwem odtrącał choćby cień podejrzenia, iż mógłby pomyśleć o biednej, osierociałej Helenie Althaus? Ej! ej! czyżby i Detlew zaginał parol na Romana, ciesząc się bezwiednie możliwością osiągnienia celu upragnionego?

W takim stanie rzeczy, było ze strony Detlewa istną męczarnią, spotkać się oko w oko z rodziną Althaus.

Wzdychał też ciężko, gdy po kilku dniach wybrał się z Astą i panią Bertrand do willi, przez panią Althaus zamieszkałej, z niezbędną wizytą kondolencyjną. Pocieszał się jedynie myślą:

— Za pół godziny i to będzie po za nami.

Lokaj otwierający przed nimi na oścież drzwi salonu, był w grubej żałobie.

Aż do przedpokoju dochodził głos pani Althaus, mówiącej do kogoś uroczyście i z naciskiem:

— Mój najlepszy, najukochańszy mąż tak o nas myślał troskliwie, iż oprócz niego w niczem zresztą braku nie uczujemy — wszystko zostaje jak było.

Aha! hasło, którem wita się i żegna odwiedzających.

Weszli do salonu. W jednym z rogów był ustawiony rodzaj ołtarzyka domowego, z dużą radcy zmarłego fotografią. Owijały ją bluszczu zielone festony, stały dwa srebrne po bokach lichtarze, leżała na klęczniku biblja rozłożona — jakby cała rodzina tu się zbierała na wspólną modlitwę.

Radczyni postąpiła ku nowo przybyłym w ciężkim kirze, z czepcem krepowym na oczy nasuniętym i z długim wdowim welonem.

Detlew objął wzrokiem natychmiast cały aparat żałobny. W duchu zaś powiedział sobie: — Czołem przed talentem reżyserskim wysoko urodzonej! — tak cichaczem nazywał panią Althaus, renomującą się wiecznie rodem znakomitym.

Skłonił się damom z głębokiem uszanowaniem, a Maksowi serdecznie dłoń uścisnął.

Pani Bertrand zaledwie zdołała zacząć:

— Jakże wszyscy współczujemy i ubolewamy...— gdy radczyni łzami zalana porwała już Astę w objęcia, a następnie pociągnęła i posadziła obok siebie na małej kozetce.

— Ach! jak za panią tęskniłam... masz naturę czującą tak głęboko!

— Co chce przez to radczyni osiągnąć? — strzeliło do głowy bratu. Przysunął sobie fotel i usiadł obok Heleny.

Włosy były u niej jak na bal wytrefione, loki nad czołem na żelazku zakręcane, głowa złotym pudrem popruszona, kwiat czarny aksamitny wpięty z boku pomiędzy pukle. Płocha, głupia dziewczyna! A może liczyła na wizytę Romana? Ot! biedne stworzenie!

Serce najpoczciwsze wzięło natychmiast górę u Detlewa, nad chętką wyśmiania pretensyj niestosownych.

— Doprawdy, droga pani, nie powinnaś w tak młodym wieku oddawać się nadto żalowi — zwrócił się do Heleny. — Niechże będzie wolno dobrym przyjaciołom rozerwać cię i jaką chwilkę uprzyjemnić.

Helena widocznie nawet nie słyszała, co do niej mówił. Myśl jedynie ją zajmującą, wyczytał Detlew z czoła przerażony, zanim miała czas spytać:

— Gdzie też obraca się baron Gehren? Wcale go teraz nie widujemy.

Coś go tknęło w sumieniu, zamaskował to jednak bezmyślnym uśmiechem i rzekł z minką niewinną, jakby i on go na oczy nigdy nie widywał.

— W rzeczy samej... nie mam wyobrażenia... *a propos* — zagadnął żywo o czem innem — dostałem prześliczne album grające, ze scenami z Carmen. Do każdego obrazu odzywa się stosowna melodja. Pozwoli pani przysłać go sobie?

Wlepiła w niego wzrok melancholijny zranionej gazeli i cicho odrzekła:

— Przypominam sobie, że wróciwszy z wycieczki baron Gehren, opowiadał o Lucce, którą słyszał w tej operze.

Czy ona na tym punkcie sfiksowała? Czy jej już niczem tego z głowy nie wybije? Wzruszył nieznacznie ramionami i zaproponował:

— Pogodę mamy jeszcze bardzo piękną. Możeby się panie chciały przejechać za miasto moją nową „Wiktorją“? Dobrałem do niej parę arabczyków, spokojnych jak dzieci.

— Czy to ten sam powóz, w którym jechałeś pan niedawno z baronem Gehren? — wpadła mu znowu w słowo.

Detlew dał nareszcie za wygranę. Daremny zachód, daremna praca! Gdy mucha uprze się usiąść na końcu czyjego nosa, to ją ztamtąd i kołem z płotu nie odpędzi. Uznał się pokonanym.

Główkę czarną i kędzierzawą ku niej przechyliwszy, słuchał z niemą rezygnacją jej paplaniny i długich wywodów, co do zmiany w stosunkach z baronem Gehren. Czasem brwi ściągał, lub ręką machnął, aby dowieść uwagi i współczucia. Przy końcu wyrwały mu się — ohy! i ahy! — Czy się oburzał, czy powątpiewał, żeby czyjeś plotki niegodziwe i knowania podstępne, według przypuszczeń Heleny, wpłynęły na Romana usposobienie?... pozostało kwestją nierozstrzygniętą. To pewna, że on za mówiącą płonął wstydu rumieńcem, myśląc z coraz wzrastającym niepokojem: Kiedy też Asta pożegna się nareszcie?

Aby się o tem przekonać, nadstawił ucha, żeby i z drugiej rozmowy coś podsłuchać.

Pani Althaus wygłaszała właśnie tonem tragicznym:

— I mój Maksio ma naturę tak głęboko czującą. Nieutulony w żalu po śmierci ojca! Nie może myśli oderwać i wziąć się do czegokolwiek innego.

— Z czasem wróci synowi pani ochota do życia i znajdzie w niem nowe przyjemności — Asta pocieszała. — Komu zresztą Bóg udzielił tyle poczucia artystycznego i obdarzył talentem tak wybitnym, nie potrafi zamknąć oczu na wszystko piękne i wzniosłe, czem nas przyroda nęci i przywabia. Muszę przyznać się, iż zazdroszczę czcigodnej pani prześlicznego bufetu, którego rysunek wyszedł z pod ołówka jej syna.

Radczyni osłupiała, iż ów bufet z marchwiami ma być tak uderzająco piękny. Odpowiedziała jednak żywo, w lot chwytając nadarzającą się sposobność:

— Mój Maksio byłby najszczęśliwszym, gdyby mógł cały swój talent poświęcić na twoje usługi dziecię kochane!

Maks na to ani pary z ust nie puścił.

— Jakby mu usta zakneblowało — pomyślał Detlew. Natura głęboko czująca nie uznała tym razem za stosowne objawić słowami uczuć tych potęgi.

Lokaj nowych gości zapowiedział.

Rodzeństwo wyniosło się natychmiast, wraz z panią Bertrand. Detlewa słuch doskonały, pochwycił jeszcze w przedpokoju początek frazesu okolicznościowego, którym pani Althaus witała przybyłych:

— Mój najlepszy, najukochańszy mąż tak o nas myślał...

Maks znaglony matki giestem rozkazującym, podał ramię pannie Löwenstern i sprowadził aż na dół po schodach.

Gdy Detlew ujrzał się znowu w powozie, otarł najprzód czoło spocone chustką batystową, a następnie chłodził się nią, trzeźwił niejako silnym zapachem perfum, któremi była napuszczoną.

— Mdło mi się robi doprawdy — odezwał się po chwili — gdy wysoko urodzona, zacznie perorować o całej rodziny świetnych stosunkach! Wiem na pewno z jaką stratą radca nieboszczyk akcje sprzedawał, na ile dni przed terminem kupony odcinał, byle zdobyć coś pieniedzy. Musiałby ten rano wstać, ktoby mnie chciał w pole wyprowadzić. Bankier, to prawie rodzaj spowiednika.

Był niesłychanie rozstrojony. Wizyta kondolencyjna odbyła się jeszcze o wiele drażliwiej, niż się mógł spodziewać.

Oburzał się na Helenę, iż ta otwarcie popisuje się ze swojemi uczuciami.

— Coś skandalicznego! — powtarzał raz po raz: sumienie jednak nie dało się tem zagłuszyć. Słyszał niby głos tajemniczy, szepczący mu na ucho:

— Detlewie! Detlewie! Z jakiego powodu właściwie i jakiem prawem, narzucasz się na sędziego w sprawie tej biednej dziewczyny, naprawdę rozkochanej?

Z biciem serca i ciężkiem westchnieniem, musiał przyznać w ducha pokorze:

— Z powodu, iż radbym, żeby Roman i Asta mogli się jakoś porozumieć i przylgnąć jedno do drugiego.

Stało się to niemal u niego fiksacją, serca jedynem i najgorętszem pragnieniem, żeby ubóstwiany przez niego przyjaciel, mógł się połączyć z siostrą, tak samo przez niego bałwochwalczo ukochaną. Nic mu jednak nie pozostało, jak na wzór żelaznej woli starożytnego Rzymianina, wydrzeć z serca własną ułudną nadzieję i wyrzec się na zawsze szczęścia, które doń się tak ponętnie uśmiechało. Wykształcenie jego umysłu i charakteru po części powierzono pedagogowi surowych zasad i przekonań niewzruszonych. Ten z przesadną niemal egzaltacją, starał się wpłynąć na ucznia i wybić z głowy pyszałkostwo, tak częste u miljonerów. Nie szczędził mu przykładów i mądrych sentencyj z Pisma św. Ową legendę o „nielitościwym bogaczu i nędznym Łazarzu“ — musiał dzieckiem będąc, deklamować na pamięć niezliczone razy. I ten ostry wyrok był mu znany: — „Zaprawdę! zaprawdę, powiadam wam, iż łatwiej wielbłądowi przejść przez dziurkę od igły, niż bogaczowi dostać się do bram niebieskich“. — Słysząc to, mimowolnie dziękował Bogu, że go stworzył tak drobnym. Może się przecie jak przeciśnie do nieba, choćby taką szczeliną, jak dziurka w igle. Duch jego wyrósł i zmężniał z czasem, nie otrząsł się jednak całkowicie z owych obrazów i podań, taką trwogą napełniających niegdyś serca dzieciaka. Śmieszne doprawdy! Nie mógł przecież wybić sobie z głowy, po wizycie u Althauzów, przypowieści o „owcy ostatniej u biednej wdowy“.

Chciał to w żart obrócić, chciał o tem zapomnieć. Nadaremnie! Ciągle sobie wyobrał, że Roman jest dla nich „tą owieczką ostatnią“, którą on, Detlew, bogacz niegodziwy, wydziera pożądliwie biednej sierocie. Jeżeli zdołał na chwilę uspić sumienie sofizmami: że owieczka sama na kieł bierze, niby kozioł uparty i ani myśli dać się zaprządz w jarzmo małżeńskie z Heleną — to w nim się trwoga budziła przed wyrzekaniami i przekleństwami, które wysoko urodzona, nie omieszka ciskać na nich oboje. Strach przed ludzkiem złorzeczeniem, były to resztki wspomnień i naleciałości, wyniesionych ze starej, żydowskiej kamienicy i z wązkiej brudnej uliczki, króre przeniosły się aż pod pyszną kolumnadę pałacu Löwensternów. Zabobon zapuszcza głębiej korzenie, niż wszelka wiara i wiedza najszczersza. A że gniewem uniesiona, rzuci na Löwensterna wielką klątwę radczyni, o tem wątpić nie można było. Przemieniała się w furję straszliwą ta kobieta, skoro ją podrażniono.

Z tego zatem wynikło, iż kiedy Roman szukał usilnie sposobności, żeby jak najczęściej spotykać Detlewa, ten na odwrót, zachowywał się tak biernie i obojętnie jak panna piękna i bogata, którą wiecznie otacza tłum adoratorów.

Osłupiał dnia pewnego, zdecydowawszy się po długim przestanku, odwidzieć Romana, osłupiał widząc panie Althaus, kroczące zwolna po pod kamienicę z wieńcami przez ramię przewieszonemi.

— No! te drogi nie żałowały! — mruknął z cicha. — Właśnie drugie tyle, co miałyby były idąc prosto na cmentarz.

Pani Althaus z twarzą na biało upudrowaną i z ustami gniewnie zaciśniętemi, szła krokiem chwiejnym ofiary, którą na stos prowadzą. Helena mimo nastroju uroczystego i główki smętnie zwieszonej, zerkała z pod oka ku oknom pierwszego piętra przez szczelinę w wachlarzu żałobnym, którym twarz do połowy zasłaniała. Modny kapelusik siedział na samym czubku wysokiej fryzury, podrygując za każdym krokiem, jakby miał ochotę porzucić pustą mózgownicę jego właścicielki.

Gdy obejrzał się na Romana, zobaczył go wciśniętego w kąt przeciwległy saloniku jak mógł najdalej od okien. Trzymał w ręce nie wielką broszurkę pod tytułem „Konsulaty“ i szybko w tejże kartki obracał. Udawał, jakoby wcale nie zauważył tej promenady po pod okna. Skoro jednak z oczu mu zniknęły matka z córką, wetknął do kieszonki w paletocie dwa bilety wizytowe. Detlew domyślając się co to znaczy, pożegnał go wkrótce. Wtedy ubrał się czemprędzej, porwał za kapelusz i popędził do pomieszkania Althausów. Tu oddał bilety wielce ubolewając:

— Iż państwa nie miał szczęścia zastać w domu.

Tak się zatem odbyła wizyta kondolencyjna ze strony Romana, na którą Helena czekała najniecierpliwiej.

Popełnił okrucieństwo! Możeż jednak postąpić inaczej? O żeniaczce mowy nie było, gdyż „dwa a dwa jest cztery“, tak samo nieubłagane jak śmierć! Byłże inny sposób, aby zerwać stanowczo wszelkie z tym domem stosunki? Możnaby wprawdzie było pożegnać się czule, narazić na sceny melodramatyczne z akompaniamentem łez, kurczów serca i mdłości, jako finale tej tragi-komedji. Takie rzeczy nie były jednak w guście Romana. Cóż zatem zostawało Detlewowi, jak powiedzieć szczerze przyjacielowi, który się o to usilnie dopytywał, że dziś po obiedzie wybiera się z siostrą do bazaru? Kłamać nie umiał i nie chciał

Damy z „towarzystwa“... głównie zaś „patronessy“, wspierające podupadłych rzemieślników, urządziły wielki „Bazar“. Rodzeństwo Löwenstern nie omieszkało stosownie do swoich milionów, obdarzyć najhojniej i przedmiotami rzetelnej wartości kupcowe eleganckie i wysoko urodzone. Następnie zaś udali się do owego bazaru, aby po cenach bajecznych nabyć towar jak najlichszy.

W obszernych salach ratuszowych, rozłożono pstre namioty, kioski i stoliki, do których cisnęły się tłumy ciekawych i gapiących się na piękne damy zajęte rozprzedażą. Do kupowania nie było wielu tak ochoczych jak Deltew i Asta.

— Ho! ho! — szepnął siostrze Deltew, okupiwszy wejście dwiema złota sztukami — niby finał w wielkiej operze! W sali pełno, że szpilki nigdzie by nie wetknął.

Mężczyźni, tak cywilni jak i wojskowi, witali Astę niskimi ukłonami, Detlewa poufałem ręki ściśnieniem.

— A! kochany porucznik Kranz!

Detlew rzucał grzecznostki na prawo i lewo.

— Dzięki za pamięć, panie radco! — zwrócił się następnie do lekarza sztabowego i radcy tajnego.— Ot! jakoś nam idzie... *cousi, cousi.* Ejże! pan łowczy dobrodziej! i pana skorciło do miasteczka? He! he! zachciało się zapolować na piękne miejskie sarneczki!... Ostrożnie z ogniem! panie szanowny! Te oczka strzelają prosto w serce, jeszcze trafniej niż pański „Czokborn“.

Z kółka, które Astę coraz gęściejszemi kręgami otaczało oprócz panów, sypiących komplimenta jak z rękawa, słychać tylko było głosik piskliwy pani Bertrand, powtarzający każdemu frazes sakramentalny: — *Charmée de Vous voir.* (C. d. n.)

Plotki lwowskie.

— I dlaczegoż to w zeszłym tygodniu zamilkłeś słowiczku plotkarski?

— Z przerażenia łaskawa pani!

— A widzisz pan jak to niebezpiecznie wdawać się z kobietami a właściwie zaczepiać się z niemi! Sto kobiet więcej potrafi narobić krzyku niż wszystkie lwowskie dzienniki razem wzięte. Z kobietami nie ma żartów! A widzisz pan, teraz stoisz jak trusia a przerażenie do tej chwili nie wygasło w twych oczach. Wiedz co znaczy zemsta kobiet!

— Pani, ratuj!

— Tak, teraz wzywasz pan ratunku. Zapóźno kwiatku, zapóźno! *Kwiaty* zostały spalone na stosie w naszej czytelni, a swąd był z nich taki, że do dziś nie można lokalu wywietrzyć. Dziś już przepadło! Z piętnem Kaina przez życie całe będziesz błąkał się wśród ludzi, na urągowisko i szyderstwo wszemu stworzeniu, na przykład i postrach dla świata!

— Pani, litości!

— Nie ma litości, nie ma współczucia dla istoty dopuszczającej się zbrodni tak potwornej! I pan sądziłeś, że ci to ujdzie bezkarnie? I pan sądziłeś, że z kobietami można zaczepiać się, a winowajcy kara dosięgnąć nie zdoła? O, myliłeś się pan grubo! My trzymamy wszystkie nici rządów i opinji świata, a każdy ktokolwiek występuje przeciwko nam, umiera dla świata, tak jak i pan już umarłeś!

— Wo, wo, wo!

— Wo, wo? damy my panu wo, wo! W czytelni naszej zaprowadzoną została czarna księga na podobnych potworów i pierwsze jej miejsce pan już zająłeś. Zapisany w niej, na straszne za życia skazany zostaje tortury. Żadnej z kobiet nie wolno na niego nawet popatrzeć, lecz każda ma go obchodzić z odwróconą twarzą jak zapowietrzonego. Skazany zostaje na wieczny celibat, na wieczną tęsknotę za rajem utraconym, bo wiesz pan, że...

— „Bez kobiet, bez kobiet, to ciało jak bez duszy“...

— Et, nie warto nawet mówić do pana! Z wszystkiego robisz pan drwiny.

— A więc to rzecz poważna?

— Najpoważniejsza.

— Otóż pozwól pani sobie powiedzieć, iż nie ja tę rzecz na śmieszne tory sprowadziłem. Wywołałyście panie burzę w szklance wody, gdy ja rzecz tę najpoważniej traktowałem. Wypowiedziałem moje zdanie i za to napastujecie mię dziś panie na każdym kroku. I cóż mi zarzucacie? Oto zarzucacie mi najniesłuszniej, że jestem przeciwny zakładaniu czytelń dla kobiet. Nie moje panie, nie jestem im przeciwny, lecz wyraziłem jedynie życzenie, by pierwsze czytelnie wraz z szkołami praktycznemi pojawiły się koło rogatek i w miarę możności postępowały ku śródmieściu. Potem to my wam już sami wybudujemy czytelnię ze złota, wysadzaną djamentami, a wielką jak Giewont tatrzański.

— Panie, panie, zaczynasz pan znowu? Wywołujesz nową burzę, a pamiętaj że wiosenne burze bywają czasami bogate w pioruny.

— Już jestem cicho. Lecz o czem mam mówić?

— A propos wiosennych burz mów pan o wiośnie.

— O jakiej?

— Jakto o jakiej? O wiośnie.

— Ach prawda! Całkiem zapomniałem, że mówiono mi, iż już jest wiosna. Lecz cóż ja pani o niej powiem? Jadłem już sałatę, rzodkiewkę... wkrótce na Zarwanicy i Krakowskiem zacznie słowik przez noc całą wywodzić swe trele...

— Jesteś pan nieznośny!

— To już tak od urodzenia łaskawa pani.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Prenumeratorce we Lwowie. Redaktor „Przyjaciela Domowego“.

Wny E. B. w Ostr. Dziękujemy.

Pani K. w T. Powieść pani ma tylko dwa błędy: nieznajomość ortografji i brak sensu.

Panu R. w S. Jako poeta rywalizujesz pan godnie z Rozbickim. Czy nie szkoda czasu i papieru?

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.